

WĘDRÓWKA

Amerykańskie oprawy pierwszych fotografii wyglądają jak małe trumienki. Czarne, brunatne, brązowe, oklejone cienką skórą czy *papier mâché*, z zaskakująco pogrzebowymi tłoczonymi ornamentami: tu amorek, tam wiązka polnych kwiatów, gdzie indziej urna. I dno wieczka, jak dno wieka trumny, obite zetłalym jedwabiem albo aksamitem. Ilekroć zamyka się dagerotyp i odkłada do szuflady, tylekroć składa się zmarłego do grobu, by za jakiś czas znów go ekshumować, unieść wieko i przyjrzeć się twarzy zabalsamowanej światłem i jodkiem srebra. Jak żywej.



Rodziny składały ich do szuflad, pokolenie po pokoleniu. Najgłębiej drewniane skrzyneczki dagerotypów, potem albumy wypełnione ferrotypami i *Cartes de Visite*, naklejonymi na twarde kartoniki z reklamami atelier, i dalej, dalej, coraz więcej papierowych odbitek, na wierzchu polaroidy z lat sześćdziesiątych, różowe cadillaki i trwałe ondulacje, zamiast kwiatów – wzorzyste dzieci-kwiaty.

Ci, którzy wierzą w reinkarnację, są pewni: ona powróciła. Może nie w tej dokładnie formie, ale jednak. Już bez palców o krótkich, okrągłych paznokciach, bez pieprzyka tuż ponad lewym, opadającym kącikiem ust, bez wytrzeszczu, który jej twarzy nadaje wyraz lekkiego zdziwienia, bez blado zarysowanych brwi i ciężkich, ciemnych włosów, zebranych w kunsztowną fryzurę. Wszystkie zakątki jej ciała, które ukrywa ta satynowa suknia, intymne obszary, stłoczone w ciasno

zasznurowanym gorsecie, którego fiszbiny odznaczają się pod marszczonym materiałem, całe to bogactwo bezpowrotnie przepadło, ale ona trwa dalej, w kolejnych wcieleniach, jako indyjska dziewczynka, wąsaty łódzki komunista, ekwadorskie niemowlę, hipster z Williamsburga.

Ale jest i wędrówka przeciwna, bardziej może prawdopodobna niż wędrówka duszy. Zaczyna się w prawym, górnym rogu, od splecionego pasma włosów, które na wieczną rzeczy pamiątkę włożono pod oprawę jako potwierdzenie, że ta kobieta jest nie tylko obrazem, ale i kimś, kto istniał jak najbardziej namacalnie. Ktoś kiedyś będzie umiał rozplątać nie tylko ten warkoczek, ale i ukrytą w nim spiralę DNA, powtórzyć, odtworzyć. Oczyszczy włosy z grynszpanu i powoła ją do życia na nowo, z tym samym ciałem, ale całkiem nową duszą. I będzie ją można odradzać: jako anarchistkę, jako ufną członkinię jakiejś teksańskiej sekty, jako matkę sześciorga dzieci, jako wybitną genetyczkę bez czasu na założenie rodziny, wiecznie w tym samym kształcie. Każda z nich będzie miała ten sam opadający lewy kącik ust i ten sam nieco kpiarski, nieco niepewny uśmiech, który u każdej z nich będzie oznaczał zupełnie co innego.

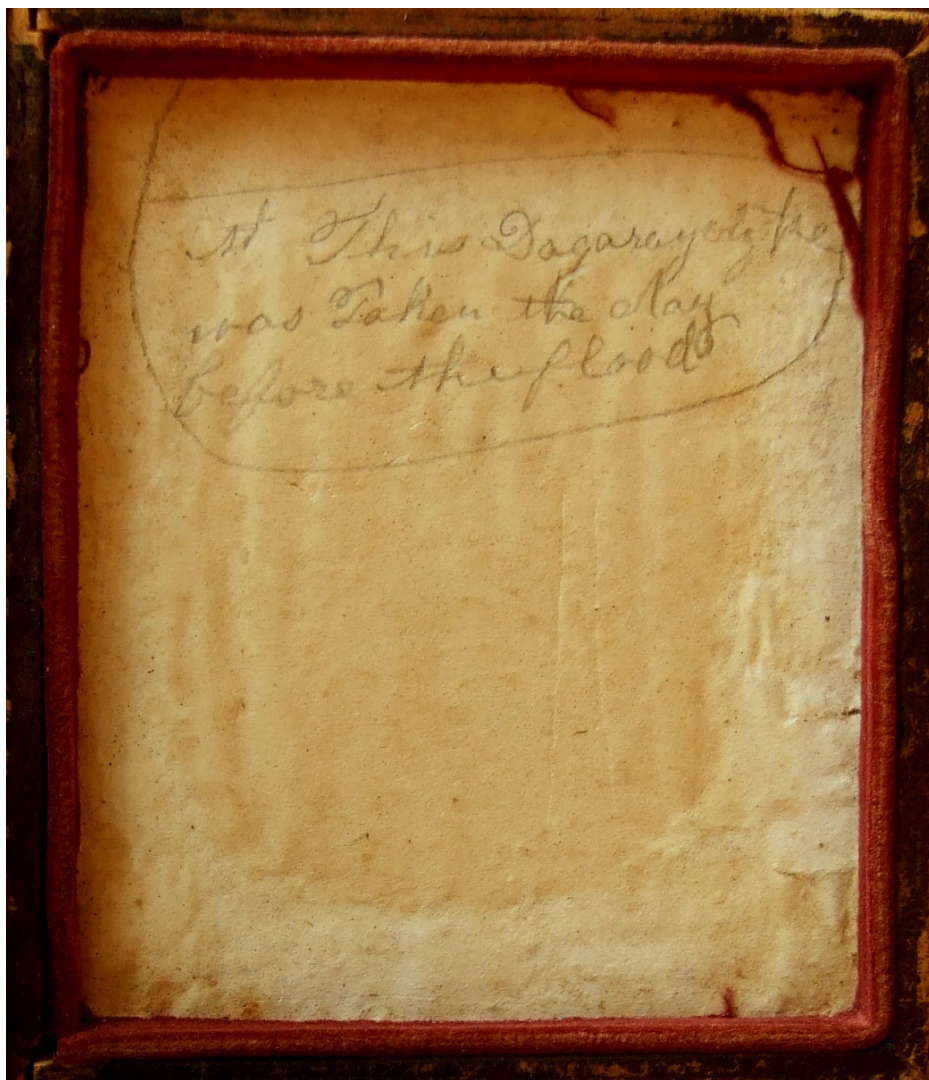
Warszawa 15 IX 2014

NA POWIERZCHNI

Oko szuka czegoś, na czym mogłoby się zawiesić, ale wszystko tu jest przeciętne. Portret siostrzyczek: rodzice zaprowadzili – albo polecili zaprowadzić niańce – dzieci do fotografa, utrwalili, bo tak szybko rosną, tak się zmieniają. A co tu utrwać, co na wieczną rzecz pamiątkę zapisywać? Skąd by nie patrzeć, pod jakim kątem nie obrócić lustrzanej tafli dagerotypu – nic ciekawego. Twarze zwyczajne, dziewczynka po lewej bardziej zblazowana, czy może melancholijna, to po prawej zafascynowana panem, który stoi tam, gdzie my dzisiaj, i macha zza czarnej płachty, że ptaszek leci. Jedna nakrywa palcami książeczkę, może na znak, że nauczyła się już czytać, a może na wyrost, by zaświadczyć o swojej pobożności i ochotnym śpiewaniu kościelnych hymnów w protestanckiej kongregacji? Druga zwinęła dłoń w piąstkę, coś w niej trzyma, ale co? Wreszcie oko chwyta maleńki, jasny przecinek – chyba wystającą z dłoni łodyżkę, dopiero potem bukiet podwiedniętych, ciemnych kwiatków. Sukienki z tego samego materiału w groszki, bo przecież wszystko robi się jeszcze ręcznie, i fotografie, i ubrania. Poza? Zwyczajna. Światło? Zastane w szklanej altanie fotografa. Skoro dziewczynki posłano do zdjęcia, dzień musiał być słoneczny.



Nuda, nuda, nuda. Trzeba dopiero przynieść z drugiego pokoju nożyk, podważyć brzeg szybki, wyjąć z oprawy szkło, potem groszkowaną ramkę i wreszcie samą płytę, by zobaczyć wreszcie to, co jest poruszające. W głębi skrzyneczki naskrobany dość krzywo, niewprawną lub starą dłonią, napis: *This Dagaratype was Taken the day before the flood. Ten Dagarajotyp zrobiono na dzień przed powodzią.*



Nagle na wypolerowaną powierzchnię zdjęcia wypływają, jak wzdęte krowy, unoszone falą, zupełnie inne sensory. I zupełnie inne pytania. Kto pisał? Jedna z nich, jako staruszka, która aż do śmierci miała pamiętać, że zdjęcie zrobiono w przeddzień potopu, że ścisła je w dłoniach na jakiejś szalupie, czy może dachu farmy, na który wdrapała się cała rodzina? A może ktoś, kto pozostał przy życiu, kto wykaraskał się, cudem uratował – i te dwie miał tylko jako cień na płycie?

Nie, w potopie zginęli wszyscy oni, nie wykaraskał się nikt; są już po drugiej stronie lustrzanego odbicia i nigdy stamtąd nie powrócą. Czas wdarł się do płuc jak woda, stłumił krzyki. Popołudnie, kiedy robiono zdjęcie, ręka, która pisała i wszystko co pomiędzy nimi, jest tylko jak mignięcie kłaczka w odpływie wanny.